

Antoni Marianowicz, Antoni Bojańczyk

Sądy wolności

Palestra 40/5-6(461-462), 93-97

1996

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

WSPOMNIENIA

■ Sądy wolności

Ogromny gmach sądów przy al. Solidarności w Warszawie w czasie wojny pełnił rolę kanału przerzutowego dla Żydów uciekających z getta. W 1940 r. sądy znalazły się na granicy getta. Funkcjonowały normalnie, obsługując mieszkańców z obu stron muru. Do sądów można było się dostać dwoma wejściami: ze strony aryjskiej od Ogrodowej (dziś wejście do Sądu Najwyższego) oraz ze strony getta od Leszna (dziś wejście do sądów rejonowych i wojewódzkiego).

O ucieczce z getta warszawskiego przez gmach sądów, kursach prawniczych prowadzonych w getcie przez adwokata Mieczysława Ettingera i luminarzach przedwojennej Palestry opowiada Antoniemu Bojańczykowi znany poeta i satyryk **Antoni Marianowicz**.

ANTONI BOJAŃCZYK

– Pochodzi Pan z zasymilowanej rodziny żydowskiej. Byliście ewangelikami-reformowanymi, w domu mówiło się po polsku. Jeśli chodzi o tzw. aryjski wygląd, to wygląd Pańskiej matki był według Pana doskonały, Pański bardzo dobry, a Pana ojca dobry. Mogliście więc z powodzeniem ukrywać się po stronie aryjskiej. Dlaczego przenieśliście się do getta?

ANTONI MARIANOWICZ

– Decydujący wpływ miały specyficzne względy związane ze zdrowiem mojego ojca. Ojciec cierpiał na zaawansowaną angina pectoris, czyli – jak to się teraz mówi – chorobę wieńcową. Uważaliśmy, że w takim stanie ojcu potrzebny jest stały nadzór typu lekarsko-pielęgniarskiego. Wydawało nam się – zresztą słusznie – że jeżeli będziemy się gdzieś ukrywali, to napotkamy na zna-



Antoni Marianowicz.
Fotografia wykonana
w przeddzień ucieczki z getta

cznie większe trudności niż w getcie, gdzie są nasi lekarze i na pewno będzie można bardzo szybko zdobyć jakąś pomoc, zastrzyki itp. Myśmy sobie prze-

cież nie zdawali sprawy z tego, jaki jest z góry pisany los mieszkańców getta. Sądziłyśmy, że jakoś przeczekamy to wszystko; nie spodziewaliśmy się pięcioletniej wojny. Gdyby ojca zdrowie było dobre, to z całą pewnością nie poszlibyśmy do getta. Na pewno zadekowalibyśmy się gdzieś po stronie aryjskiej. W getcie znaleźliśmy się przed 15 października 1940 r., zamknięcie getta nastąpiło 15 listopada. Wtedy cały obszar dzielnicy żydowskiej był już otoczony murem.

– Istniała ograniczona komunikacja między gettem a stroną aryjską. W jaki sposób odbywał się ten ruch?

– Getto było strzeżone, ale praktycznie wejście i wyjście było możliwe tam, gdzie byli żandarmi, którzy brali łapówki. O takim braniu policja żydowska była dokładnie poinformowana i wiadomo było, że na przykład Hans, który dzisiaj stoi na warcie bierze. Wtedy można było liczyć na to, że się przejdzie w tę czy w tamtą stronę przez bramę. Poza tym ludzie przedostawali się przez mur. Człowiek wygimnastykowany – jeżeli go odpowiednio podszadzano – mógł przeskoczyć mur. Niektórzy wychodzili z kolumnami robotników żydowskich zmierzających do pracy po stronie aryjskiej. Żydowska siła robocza była czasami potrzebna do zadań po drugiej stronie muru i wtedy kolumna robotników udawała się do pracy poza getto pod ścisłym nadzorem Niemców. Ludzie przekupywali pilnujących i urywali się w mieście.

Istniała jeszcze inna droga: przeniknięcie – ryzykowne – przez wielki gmach sądów przy Lesznie, gdzie normalnie działały sądy. Było to zwykle połączone z łapówką, ale nie zawsze.

– Sądy stały na granicy getta i strony aryjskiej. Czy wejścia nie były pilnowane przez Niemców?

– Dostęp do sądów był wolny, można było po prostu wejść, nie było ograniczeń. Co prawda przed sądami sprawdzano niby dokumenty, stał jeden policjant żydowski i jakiś inny funkcjonariusz, ale to była czysta formalność. Od strony Leszna tylko jedno wejście było otwarte. Tam stali właśnie ci dwaj, czasami się do kogoś przyczepiali, jeżeli ktoś się im nie podobał. Ale jeśli do sądów chciał wejść człowiek normalnie się prezentujący, nie budzący ich obaw, to mógł to zrobić bez żadnych kłopotów. Natomiast wiadomo było, że każdy wychodzący na Ogrodową, która była już po stronie aryjskiej, był bardzo pilnie obserwowany przez żandarmów pilnujących tamtego wyjścia.

– Był Pan w sądach przed ucieczką?

– Chyba tylko jeden raz. Załatwiałem sprawę dla Zakładu Zaopatrzenia, w którym wtedy pracowałem. Było tam bardzo dużo ludzi, w opaskach i bez opasek, wszyscy przemieszani. Ludzie umawiali się z rodziną czy przyjaciółmi mieszkającymi po aryjskiej stronie. W zasadzie odbywało się to bez specjalnych komplikacji. Oczywiście wymagało to pewnej organizacji, trzeba się było umówić na konkretną godzinę itd. Było to chyba dosyć niebezpieczne, po budynku kręciło się mnóstwo różnego rodzaju szantażystów. Tak więc istniało zagrożenie przy takiego rodzaju spotkaniach. Nie pamiętam jednak, by ktoś „wsiąkł” w sądach; by poszedł na spotkanie i nie wrócił.

– Ucieczki z getta musiały być ściśle zaplanowane, wymagały od uczestników zachowania zimnej krwi. Jak wyglądała wasza ucieczka?

– Zastanawialiśmy się nad dokumentami i jakąś koncepcją bezbolesnego wyjścia. Zamiar ucieczki z getta powzięliśmy po śmierci mojego ojca. Tego dnia (4 października 1941 r.), którego umarł mój ojciec, byliśmy już z matką przekonani, że musimy się wydostać z getta. Pojawił się wówczas jak na zamówienie mój kolega, Olek Oszerowski, z propozycją wyprowadzenia mnie i mojej matki na stronę aryjską przez gmach sądów. Oszerowscy (Olek, jego matka i jego brat) mieli już załatwioną ucieczkę. Z nieznanymi mi bliżej powodów Olek dołączył nas do siebie.

Ucieczkę zorganizował niejaki Łuczyński, który był współnikiem nieżyjącego ojca Olka. Na mocy testamentu starego Oszerowskiego miał on być opiekunem jego syna aż do osiągnięcia przez Olka pełnoletności. Czuło się, że jest to potęga: forsa i wielkie wpływy. Ale jego poznałem dopiero w gmachu sądów w dniu ucieczki, 29 lipca 1942 r.

Był to piękny lipcowy dzień; bezchmurny, ciepły. Wyszliśmy z naszego mieszkania przy Chłodnej 39 rano, bardzo przerażeni, ze złotem powitykanym w kieszenie. Ja miałem złoto nawet w butach. Poszliśmy drogą skrótową, jakimś przejściem na Leszno, które było wyjątkowo wyludnione w stosunku do normalnego obrazu tej ulicy. Zwykle było nieludzko zatłoczone, pełne żebraków, ledwo się można było przecisnąć.

Weszliśmy do hallu sądów. Każde z nas miało teczkę, w której były fotografie, dokumenty rodzinne. W holu było pustawo. Rozglądaliśmy się, gdy podszedł do nas szantażysta: A dokąd to państwo? A czego tu państwo szukacie? Dałem mu dwadzieścia złotych – to był gest naprawdę natchniony. Wziął pieniądze i zniknął.

Nie orientowałem się, gdzie są gabinety sędziów. Popatrzyłem na tablicę, znalazłem tam odpowiedni numer gabinetu sędziego Kupścia, u którego byliśmy umówieni z Oszerowskim. Dotarliśmy do gabinetu. Oszerowscy już tam na nas czekali.

Wszystko co się dalej działo, to jakby fragment nierealnego filmu. Wiem tylko, że zdjęliśmy opaski, u Kupścia zostawiliśmy zdjęcia i wszystko co było w teczkach. Trochę się ucharakteryzowaliśmy i znowu czekaliśmy.

Przyszli adwokaci. Pani mecenas Płowska. Niedawno zmarła. Słynna postać. Nie było większej transakcji mieszkaniowej, w której by nie uczestniczyła. Pan mecenas Pilecki. Elegancki, rzeczowy. Były wicewojewoda białostocki. Potem zajmował się działalnością adwokacką. Doszło jeszcze paru innych, których nie pamiętam. Wszyscy staliśmy w małym gabinecie Kupścia, gdy wtoczył się hałaśliwy, wąsaty starzec: Łuczyński.

I wtedy się zaczęła właściwa gra.

Łuczyński rozkazał: idziemy! Nas otoczono, on zaczął opowiadać jakieś nieprzyzwoite dowcipy i zaczęliśmy się poruszać korytarzami w kierunku wyjścia. Jest mi bardzo trudno powiedzieć, jak to się odbyło. Wszystko działo się jak we śnie, ja tylko zobaczyłem gęby żandarmów przy Ogrodowej i po chwili wiedziałem, że jest już po wszystkim. Tak jak w czasie operacji. Potem zobaczyłem twarz szantażysty. Przeraziłem się. Myślałem, że to jest koniec, że on dopiero teraz zacznie swoją działalność. Tymczasem on się uśmiechnął, dał jakiś sygnał i odszedł. Sędzia Kupść powiedział, że facet ten wziął nas za aryjczyków, którzy robili nielegalne interesy w getcie i oskubał nas na dwadzieścia

złoty za to, że nas przyłapał w getcie. I koniec. Nic więcej się nie stało. Weszliśmy do jakiejś knajpy. Zjedliśmy wspólnie obiad, drogi – jak cholera, wszystko co najdroższe, najwyszukańsze. Ja byłem w euforii, nawet sobie gołnałem. Zapłaciliśmy stony rachunek i rozeszliśmy się.

– **Czy musieliście komuś zapłacić za zorganizowanie ucieczki?**

– Nikt pieniędzy od nas nie wziął. Pokryliśmy połowę rachunku w restauracji za ucztę, która się odbyła zaraz po naszym wyjściu. Wydaje mi się, że akcja miała charakter społeczny; przynajmniej jeśli chodzi o adwokatów.

– **W getcie chodził Pan na kursy prawnicze. Czy była to jakaś forma studiów prawniczych? Kto wykładał na tych kursach?**

– Organizatorem był mecenas Mieczysław Ettinger, który działał w porozumieniu z władzami Uniwersytetu Warszawskiego. Miał swego rodzaju nieformalne upoważnienia, żeby te kursy traktować jak studia prawnicze i po zakończeniu wojny jakoś je zalegalizować. Ettinger zaczął się rozglądać za ciałem pedagogicznym, sam był jednym z uczących. Pierwszym człowiekiem, do którego zwrócił się z prośbą o podjęcie nauczania był Szymon Rundstein, znakomity prawnik, radca prawny MSZ. Uczył również młody adwokat, aplikant Wacława Brokmana, wschodząca gwiazda adwokatury, Stanisław Adler. Był to uroczy człowiek i świetny nauczyciel.

Kursy odbywały się w mieszkaniach prywatnych. Wystartowały na wiosnę 1942 r., było parę lekcji, nim się dobrze wszystko rozkręciło, nim ustalono: kiedy, co i u kogo to był już maj. Zdołaliś-

my odbyć zaledwie kilka zajęć. Potem wszystko się rozpadło.

– **Przed wojną poznał Pan wielu wybitnych adwokatów, którzy bywali u Pana rodziców. Proszę o nich opowiedzieć.**

– Byłem otoczony przez adwokatów i lekarzy. Kto zjawiał się u nas w domu jako gość, to albo był to adwokat, albo lekarz. Cała moja rodzina była bardziej lekarska niż adwokacka, niemniej mieliśmy też w rodzinie kilku adwokatów. Nie były to najjaśniejsze gwiazdy adwokatury, ale byli to adwokaci znani. Jeden nasz kuzyn to był adwokat Ignacy Baumberg, o którym mawiano, że kariery nie zrobił, bo był na to o wiele zbyt przywoity. Był też Bolesław Krakowski, z młodszej generacji adwokackiej, który zapowiadał się na bardzo dobrego adwokata.

Ale ja raczej byłem wpatrzony w znakomitych adwokatów spoza naszej rodziny, jak mecenas Wacław Brokman, świetny obrońca w sprawach karnych. Miał w życiu jakiś okres obrony w procesach typu niepodległościowego, ale uchodził za jednego z najskuteczniejszych obrońców karnych. Wstawił się zwłaszcza obroną profesora Alfreda Meissnera, dentysty oskarżonego o nieumyślne spowodowanie śmierci znakomitego scenografa, Wincentego Drabika. Drabik poddał się u Meissnera wielkiej operacji szczękowej po której zmarł. Była to głośna w Warszawie sprawa i mówiło się wtedy, że jeżeli ktoś chce mieć naprawdę dobrze zaplombowany ząb, to powinien iść do mecenas Brokmana, świetnego znawcy stomatologii.

Znaliśmy dobrze Mieczysława Etttingera, który mi bardzo imponował w związku ze sprawą Gorgonowej. By-

łem namiętnym obserwatorem tego procesu. Występowało tam trzech adwokatów: „Trzech z trzech miast”. Z Krakowa mecenas Woźniakowski, ze Lwowa słynny adwokat Maurycy Axer, ojciec Erwina, reżysera, i z Warszawy Ettinger. O sprawie Gorgonowej rozmawiałem z nim później w getcie.

Poza tym przed wojną istniał model piszącego adwokata, było bardzo wielu świetnie piszących adwokatów. Prastary (pokolenie moich dziadków) adwokat Aleksander Kraushar, historyk, autor setek prac naukowych. Spisał on dzieje polskiej advokatury.

Leo Belmont: nasz dobry znajomy, pisał różne koszmarnie powieści, taką pulp-fiction. Był bardzo czynnym producentem trzeciorzędnej literatury. Jednocześnie tłumaczył: był pierwszym tłumaczem „Eugeniusza Oniegina”. Bardziej utrzymywał się z pisania niż z advokatury.

Znakomity autor – nie tylko dla dzieci – i mój najbliższy przyjaciel Jan Lesman (Brzechwa) był bardzo znanym przed wojną adwokatem, prowadził dużą kancelarię adwokacką, specjalizował się w prawie autorskim. Występował w słynnym w środowisku literackim procesie Miriam kontra Pini o prawa na Norwida. Sprawa ta powstała, gdy znakomity pisarz, redaktor „Chimery”, Zenon Miriam-Przesmycki przywłaszczył sobie prawa autorskie na dzieła Norwida i pracował nad krytycznym wydaniem Norwida. Prawdopodobnie jacyś potomkowie poety zlecili mu tę pracę. Guzdrał się z tym niemiłosiernie. Wywoływało to częściowo oburzenie, a częściowo kpiny środowiska literackiego. W tym czasie profesor Tadeusz Pini, polonista, który

nie miał opinii solidnego naukowca, wydał tom Norwida. Miriam pracował nad każdym znakiem przestankowym, nad każdą literką, a Pini wziął i byle jak wydał Norwida. Lesman oskarżał Piniego z ramienia Miriama. Sprawę wygrał Miriam.

Byli też adwokaci, którzy specjalizowali się w pisaniu sprawozdań sądowych, felietonów. Znana przedwojenna postać: adwokat Leon Okręt, staruszek, pisał sprawozdania sądowe. Wtedy debiutował również Henryk Nowogródzki.

Wreszcie chciałbym przypomnieć postać Aleksandra Margolisa, adwokata żydowskiego. Pamiętam go jako niesłychanie dowcipnego, zabawnego i pełnego życia człowieka. Napisał on książkę – dziś już zapomnianą – pt. „Zachorowałem”. W moich kręgach książka ta była bardzo głośna, chociaż szerszego rozgłosu sobie nie zdobyła. Był to straszliwy paszkwil na warszawskie środowisko medyczne. Najsłynniejsi warszawscy lekarze zostali tam nieprawdopodobnie obsmarowani. Było to napisane w formie pamiętnika pacjenta i myślę, że jak najgłębiej autentyczne. Margolis sam zachorował i przeszedł przez trzydziestu największych specjalistów w Warszawie, Żydów i Polaków. Wszyscy twierdzili, że doskonale wiedzą co mu jest i aplikowali rozmaite leki. A jemu było coraz gorzej. Kiedy wszyscy prawie machnęli na niego ręką, Margolis wziął i nagle wyzdrowiał sam z siebie. Zemścił się na nich pisząc ten pamiętnik, gdzie można było ich wszystkich z łatwością rozpoznać. Niestety wojny już nie przeżył.

– **Dziękuję za rozmowę.**